NELLIE BLY



KSIĄŻKA DOSTĘPNA W AUDIOBOOKU

Moje 10 DNI W DOMU WARIATÓW

PRAWDZIWA HISTORIA DZIENNIKARKI, KTÓRA SYMULOWAŁA CHOROBĘ, BY POKAZAĆ ŚWIATU PRAWDĘ.

błysk

Moje 10 dni w domu wariatów

Nellie Bly

Przekład na język polski

Dawid Wojnar

Tytuł oryginału: **Ten days in a mad-house**

Wydawca: *Wydawnictwo Błysk sp. z o.o.*
Przekład na język polski: *Dawid Wojnar*
Korekta i redakcja: Dorota Sosulska

Copyright 2026 © for this edition by Wydawnictwo Błysk Sp. z o.o.
Copyright 2026 © for this translation by Wydawnictwo Błysk Sp. z o.o.

ISBN 9788368676853

Cieszyn 2026

Wydawnictwo Błysk sp. z o.o.
Ul.Hieronima Przepilińskiego 6
43-400 Cieszyn
NIP: 5242959559

e-mail: *wydawnictwo@wydawnictwoblysk.pl*
www.wydawnictwoblysk.pl

Książka dostępna również w formie audiobooka.

błysk

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Spis treści
WPROWADZENIE
ROZDZIAŁ I DELIKATNA MISJA
ROZDZIAŁ II PRZYGOTOWANIE DO PRÓBY
ROZDZIAŁ III W SCHRONISKU TYMCZASOWYM
ROZDZIAŁ IV SĘDZIA DUFFY I POLICJA
ROZDZIAŁ V UZNANA ZA NIEZRÓWNOWAŻONĄ
ROZDZIAŁ VI W SZPITALU W BELLEVUE
ROZDZIAŁ VII CEL W ZASIĘGU WZROKU
ROZDZIAŁ VIII W ŚRODKU SZPITALA DLA UMYSŁOWO CHORYCH
ROZDZIAŁ IX EKSPERT(?) W PRACY
ROZDZIAŁ X MOJA PIERWSZA KOLACJA
ROZDZIAŁ XI W ŁAZIENKACH
ROZDZIAŁ XII SPACER Z SZALONYMI
ROZDZIAŁ XIII DUSZENIE I BICIE PACJENTÓW
ROZDZIAŁ XIV KILKA NIESZCZĘŚLIWYCH HISTORII
ROZDZIAŁ XV ZDARZENIA Z ŻYCIA W ZAKŁADZIE PSYCHIATRYCZNYM
ROZDZIAŁ XVI POŻEGNANIE

ROZDZIAŁ XVII DOCHODZENIE PRZED WIELKĄ ŁAWĄ PRZYSIĘGŁYCH
Różne szkice. PRÓBA ZOSTANIA SŁUŻĄCĄ. MOJE DZIWNE DOŚWIADCZENIA W DWÓCH AGENCJACH POŚREDNICTWA PRACY
NELLIE BLY JAKO „BIAŁA NIEWOLNICA”. MOJE DOŚWIADCZENIA W ROLI NOWOJORSKIEJ SPRZEDAWCZYNI WYTWARZAJĄCEJ PAPIEROWE PUDEŁKA.
WYDAWCA POLECA

UDAWANIE SZALEŃSTWA, ABY UJAWNIAĆ OKROPNOŚCI PANUJĄCE W ZAKŁADZIE DLA UMYSŁOWO CHORYCH.

WPROWADZENIE

Odkąd moje przeżycia w szpitalu psychiatrycznym na wyspie Blackwell zostały opublikowane w gazecie „The World”, otrzymałam setki listów dotyczących tej sprawy. Nakład numeru zawierającego moją relację już dawno się wyczerpał, więc namówiono mnie, bym wyraziła zgodę na wydanie jej w formie książkowej, aby zaspokoić potrzeby setek osób, które wciąż proszą o egzemplarze.

Cieszę się, że w wyniku mojej wizyty w szpitalu psychiatrycznym i wynikających z niej doniesień mogę stwierdzić, iż miasto Nowy Jork przeznaczyło na opiekę nad osobami chorymi psychicznie o milion dolarów rocznie więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Mam więc przynajmniej satysfakcję, wiedząc, że dzięki mojej pracy ci biedni nieszczęśnicy będą mieli zapewnioną lepszą opiekę.

ROZDZIAŁ I
DELIKATNA MISJA

22 września redakcja gazety „The World” zwróciła się do mnie z pytaniem, czy mogłabym dać się umieścić w jednym z nowojorskich szpitali dla umysłowo chorych, aby sporządzić prostą, pozbawioną upiększeń relację na temat sposobu traktowania tamtejszych pacjentów oraz metod zarządzania placówką. Czy uważałam, że mam wystarczająco dużo odwagi, by przejść przez próbę, jakiej wymagała ta misja? Czy potrafiłabym przybrać cechy szaleństwa w takim stopniu, by oszukać lekarzy i przeżyć tydzień wśród chorych, nie dając się zdemaskować przez tamtejsze władze jako reporterka robiąca notatki? Odpowiedziałam, że wierzę, iż dam radę. Miałam ufność w swoje umiejętności aktorskie i sądziłam, że potrafię udawać szaleństwo wystarczająco długo, by wykonać powierzone mi zadanie. Czy zdołam spędzić tydzień na oddziale dla umysłowo chorych na wyspie Blackwell? Odpowiedziałam, że tak i że to zrobię. I tak też się stało.

Otrzymałam po prostu polecenie, by zabrać się do pracy, gdy tylko poczuję, że jestem gotowa. Miałam wiernie opisywać przeżycia, których doświadczam, a gdy już znajdę się w murach szpitala psychiatrycznego – zbadać i opisać jego wewnętrzne funkcjonowanie. Jest ono przecież tak skutecznie ukrywane przed opinią publiczną, zarówno za pomocą zasuw i krat, jak i przez pielęgniarki w białych czepkach.

– Nie prosimy cię, byś się tam udała w celu ujawnienia sensacyjnych informacji – powiedział redaktor. – Opisuj rzeczy takimi, jakimi je widzisz,

dobre czy złe. Chwal lub krytykuj według własnego uznania, ale zawsze trzymaj się prawdy. Obawiam się jednak tego twojego chronicznego uśmiechu.

– Nie będę się już uśmiechała – odparłam i udałam się, by wykonać swoją delikatną i – jak się okazało – trudną misję.

Gdybym dostała się do szpitala psychiatrycznego – na co nie liczyłam – nie miałam pojęcia, że moje doświadczenia będą obejmowały cokolwiek więcej niż zwykłą opowieść o życiu w takim miejscu. Nie wydawało mi się możliwe, by taka placówka mogła być źle zarządzana i by pod jej dachem miały miejsce okrucieństwa.

Zawsze pragnęłam dokładniej poznać życie w szpitalu psychiatrycznym – pragnęłam się przekonać, że o najbardziej bezradne z Bożych stworzeń, czyli osoby chore psychicznie, dba się życzliwie i właściwie. Liczne opowieści, które czytałam o nadużyciach w takich placówkach, uważałam za rażąco przesadzone albo za fikcję literacką, jednak w głębi duszy tkwiło we mnie pragnienie, by dowiedzieć się tego na pewno.

Przeszył mnie dreszcz na samą myśl o tym, że ci całkowicie pozbawieni zmysłów ludzie znajdowali się w mocy swoich opiekunów i że można było płakać i błagać o uwolnienie – a wszystko to na próżno, jeśli tylko opiekunowie tak postanowili. Z zapałem przyjęłam misję poznania wewnętrznego funkcjonowania szpitala psychiatrycznego na wyspie Blackwell.

– Jak mnie stamtąd wydostaniecie – zapytałam mojego redaktora – kiedy już się tam dostanę?

– Nie wiem – odparł – ale wydostaniemy cię, nawet jeśli będziemy musieli ujawnić, kim jesteś i w jakim celu udawałaś szaleństwo. Po prostu się tam dostań.

Nie wierzyłam zbytnio w swoją zdolność do oszukania ekspertów od obłędu, a odnosiłam wrażenie, że mój redaktor wierzył w to jeszcze mniej.

Wszystkie wstępne przygotowania do tej wycieńczającej próby musiałam zaplanować sama. Ustalono tylko jedną rzecz: miałam występować pod pseudonimem Nellie Brown. Te inicjały miały zgadzać się z inicjałami na mojej bieliźnie, aby w razie potrzeby ułatwić śledzenie moich losów i pomóc mi w wydostaniu się z jakichkolwiek kłopotów lub niebezpieczeństw, w które mogłabym się wpakować. Istniały sposoby, by dostać się na oddział dla umysłowo chorych, ale ich nie znałam. Mogłam obrać jedną z dwóch dróg: albo udawać szaleństwo w domu przyjaciół i dać się zamknąć na podstawie orzeczenia dwóch kompetentnych lekarzy, albo dotrzeć do celu przez sąd policyjny.

Po zastanowieniu doszłam do wniosku, że rozsądniej będzie nie narzucać się przyjaciołom ani nie prosić żadnych dobrodusznych lekarzy o pomoc w realizacji mojego zamierzenia. Poza tym, aby ułatwić mi dostanie się na wyspę Blackwell, moi znajomi musieliby udawać ubóstwo. Niestety – z punktu widzenia celu, jaki sobie wyznaczyłam – moje relacje z osobami ubogimi, które zmagały się z trudnościami, były jedynie powierzchowne.

Postanowiłam więc zrealizować plan, który ostatecznie doprowadził mnie do pomyślnego wykonania misji. Udało mi się zostać umieszczoną na oddziale dla umysłowo chorych na wyspie Blackwell, gdzie spędziłam dziesięć dni i nocy, przeżywając coś, czego nigdy nie zapomnę. Wzięłam na siebie rolę biednej, nieszczęśliwej, szalonej dziewczyny i czułam, że moim obowiązkiem jest nie uchylać się od żadnych nieprzyjemnych konsekwencji, jakie mogłyby z tego wyniknąć.

Przez ten czas stałam się jedną z pacjentek tego miejskiego azylu. Wiele wycierpiałam, a także na własne oczy zobaczyłam i usłyszałam, jak traktuje

się tę bezradną część naszego społeczeństwa. Kiedy zebrałam już wystarczająco dużo informacji, szybko zapewniono mi zwolnienie. Opuściłam szpital psychiatryczny z radością i żalem. Z radością – że znów mogłam cieszyć się wolnością pod otwartym niebem; z żalem – że nie mogłam zabrać ze sobą niektórych z tych nieszczęśliwych kobiet, które żyły i cierpiały razem ze mną. Jestem bowiem głęboko przekonana, że są one tak samo przy zdrowych zmysłach, jak ja byłam wtedy i jestem teraz.

Chciałabym jednak podkreślić jedną rzecz: od chwili, gdy trafiłam na oddział dla umysłowo chorych na Wyspie, w ogóle nie próbowałam odgrywać roli szalonej. Mówiłam i zachowywałam się dokładnie tak samo, jak w codziennym życiu. Co jednak dziwne, im bardziej rozsądnie się wypowiadałam i postępowałam, tym bardziej wszyscy uważali mnie za niepoczytalną – z wyjątkiem jednego lekarza, którego życzliwości i łagodnego usposobienia długo nie zapomnę.

ROZDZIAŁ II
PRZYGOTOWANIE DO PRÓBY

Wróćmy jednak do mojej pracy i mojej misji. Po otrzymaniu instrukcji wróciłam do pokoju, a gdy zapadł wieczór, zaczęłam ćwiczyć rolę, w której następnego dnia miałam zadebiutować. „Cóż za trudne zadanie – pomyślałam. – Wystąpić przed tłumem ludzi i przekonać ich, że jestem szalona”. W całym swoim życiu nigdy nie miałam do czynienia z osobami obłąkanymi i nie miałam najmniejszego pojęcia, jak się zachowują. A do tego miałam zostać zbadana przez grupę wykształconych lekarzy, którzy specjalizują się w chorobach psychicznych i codziennie mają kontakt z chorymi! Jak mogłam mieć nadzieję, że przejdę tę próbę i przekonam ich, że jestem szalona? Obawiałam się, że nie da się ich oszukać. Zaczęłam uważać swoje zadanie za beznadziejne, ale trzeba było je wykonać.

Podeszłam więc do lustra i przyjrzałam się swojej twarzy. Przypomniałam sobie wszystko, co przeczytałam o zachowaniach szaleńców – przede wszystkim, że muszą mieć wybałuszone oczy. Otworzyłam więc swoje tak szeroko, jak to tylko możliwe, i wpatrywałem się bez mrugnięcia w swoje odbicie. Zapewniam was, że widok ten nie był uspokajający, nawet dla mnie samej, zwłaszcza w środku nocy. Próbowałam zwiększyć płomień lampy gazowej w nadziei, że doda mi to odwagi. Udało mi się to tylko częściowo, a na dodatek „pocieszałam się” myślą, że za kilka dni nie będzie mnie już w tym pokoju, lecz będę zamknięta w celi z gromadą szaleńców.

Nie było zimno, a mimo to, gdy pomyślałam o tym, co ma nadejść, zimne dreszcze przebiegały mi po plecach – jakby na drwinę z potu, który powoli, lecz nieubłaganie prostował moją grzywkę. W przerwach między ćwiczeniami przed lustrem i wyobrażaniem sobie swojej przyszłości jako osoby obłąkanej, czytałam fragmenty niesamowitych opowieści o duchach. Kiedy więc świt ostatecznie przegonił noc, czułam, że jestem w odpowiednim nastroju do wykonania misji, a jednocześnie na tyle głodna, by z utęsknieniem wyczekiwać śniadania.

Powoli i ze smutkiem wzięłam poranną kąpiel, po czym w duchu pożegnałam się z kilkoma najcenniejszymi zdobyczami współczesnej cywilizacji. Z żalem odłożyłam szczoteczkę do zębów, a gdy po raz ostatni sięgałam po mydło, mruknęłam pod nosem: „To może potrwać kilka dni, a może… nawet dłużej”. Następnie włożyłam stare ubrania, które przygotowałam na tę okazję. Patrzyłam wtedy na świat przez wyjątkowo ponure okulary. „Równie dobrze mogę rzucić na to wszystko ostatnie, tęskne spojrzenie – rozmyślałam – bo kto wie, czy napięcie związane z udawaniem szaleństwa i zamknięciem w tłumie obłąkanych nie doprowadzi mnie do prawdziwego obłędu i czy kiedykolwiek wrócę jeszcze do normalności”. Ani razu jednak nie pomyślałam o tym, by wycofać się z misji. Spokojnie – przynajmniej na pozór – wyruszyłam naprzeciw swojemu szalonemu zadaniu.

Najpierw pomyślałam, że najlepiej będzie udać się do jakiegoś pensjonatu i po znalezieniu zakwaterowania poufnie wyjawić gospodyni lub gospodarzowi – w zależności od tego, kogo zastanę na miejscu – że szukam pracy, a po kilku dniach zacząć udawać, że oszalałam. Kiedy jednak ponownie to przemyślałam, zaczęłam się obawiać, że realizacja tego planu zajmie zbyt dużo czasu. Nagle uświadomiłam sobie, o ile łatwiej byłoby udać się do pensjonatu dla kobiet pracujących. Wiedziałam, że gdy

tylko uda mi się przekonać cały dom pełen kobiet o moim szaleństwie, nie spoczną, dopóki nie znajdę się poza ich zasięgiem, w jakimś bezpiecznym miejscu.

Z książki adresowej wybrałam „Tymczasowy Dom dla Kobiet” pod numerem 84 przy Second Avenue. Idąc tą aleją, postanowiłam, że gdy tylko przekroczę próg tego schroniska, zrobię wszystko, co w mojej mocy, by rozpocząć swoją podróż na wyspę Blackwell – prosto do tamtejszego szpitala psychiatrycznego.

ROZDZIAŁ III
W SCHRONISKU TYMCZASOWYM

Musiałam rozpocząć swoją karierę jako Nellie Brown – ta szalona dziewczyna. Idąc aleją, starałam się przybrać minę, jaką dziewczęta mają na obrazach zatytułowanych „Marzenia”. Takie „zamyślone” spojrzenia mają w sobie przecież coś z szaleństwa. Przeszłam przez mały, wybrukowany dziedziniec do wejścia. Zadzwoniłam dzwonkiem, który rozbrzmiał tak głośno, jakby to były dzwony kościelne, i nerwowo czekałam na otwarcie drzwi do Domu – z którego, jak sądziłam, wkrótce zostanę wyrzucona i zdana na łaskę policji. Drzwi otworzyły się z impetem, a przede mną stanęła niska, jasnowłosa dziewczyna, mająca około trzynastu lat.

– Czy przełożona jest obecna? – zapytałam cicho.

– Tak, jest w domu, ale jest zajęta. Proszę przejść do tylnego salonu – odpowiedziała głośno dziewczyna, nie zmieniając wyrazu swojej niezwykle dojrzałej twarzy.

Postąpiłam zgodnie z tymi niezbyt uprzejmymi wskazówkami i znalazłam się w ciemnym, mało przytulnym pokoju na tyłach domu. Tam czekałam na przybycie gospodyni. Siedziałam już co najmniej dwadzieścia minut, kiedy do pomieszczenia weszła szczupła kobieta ubrana w skromną, ciemną sukienkę. Zatrzymała się przede mną i zapytała krótko:

– No i co?

– Czy pani jest przełożoną? – zapytałam.

– Nie – odparła. – Przełożona jest chora, ja jestem jej asystentką. Czego pani sobie życzy?

– Chciałabym tu zostać na kilka dni, jeśli mogłaby mnie pani przyjąć.

– Cóż, nie mam wolnych pokoi jednoosobowych, mamy pełne obłożenie. Jeśli jednak zechce pani dzielić pokój z inną dziewczyną, to chętnie panią ugoszczę.

– Będę zadowolona – odpowiedziałam. – Ile pani za to żąda?

Miałam przy sobie tylko około siedemdziesięciu centów. Doskonale wiedziałam, że im szybciej skończą mi się pieniądze, tym szybciej zostanę wyrzucona – a właśnie na tym najbardziej mi zależało.

– Pobieramy trzydzieści centów za noc – brzmiała odpowiedź na moje pytanie.

Zapłaciłam jej za jedną noc, po czym asystentka odeszła, tłumacząc się, że ma jeszcze inne sprawy do załatwienia. Pozostawiona sama sobie, by zająć się czymś najlepiej, jak potrafiłam, rozejrzałam się po otoczeniu. Otoczenie to nie było, delikatnie mówiąc, zbyt przyjemne. Szafa, biurko, regał, organy i kilka krzeseł stanowiły całe wyposażenie pokoju, do którego ledwo docierało światło dzienne.

Zanim zdążyłam się zadomowić, w piwnicy rozległo się dzwonienie, które głośnością dorównywało dzwonkowi do drzwi frontowych. W tym samym momencie zewsząd zaczęły schodzić po schodach kobiety. Po tych wyraźnych znakach domyśliłam się, że podano kolację, ale ponieważ nikt nic mi nie powiedział, nie próbowałam dołączyć do tego głodnego pochodu. Mimo to miałam nadzieję, że ktoś zaprosi mnie na dół. Świadomość, że inni jedzą, a człowiek nie ma takiej możliwości, zawsze wywołuje uczucie samotności i tęsknoty za domem – nawet jeśli samemu nie jest się głodnym.

Ucieszyłam się, gdy pojawiła się asystentka przełożonej i zapytała mnie, czy nie mam ochoty na coś do jedzenia. Odpowiedziałam, że tak, a potem zapytałam ją, jak się nazywa.

– Pani Stanard – odpowiedziała, a ja natychmiast zapisałam to w notesie, który wzięłam ze sobą do prowadzenia zapisków. Zdążyłam już zresztą zapełnić w nim kilka stron kompletnymi bzdurami, przygotowanymi specjalnie na wypadek kontroli dociekliwych lekarzy.

Tak przygotowana czekałam na dalszy rozwój wydarzeń. A moja kolacja… Cóż, poszłam za panią Stanard po schodach pozbawionych dywanów prosto do piwnicy, gdzie posiłek jadło wiele kobiet. Znaleziono dla mnie miejsce przy stole z trzema innymi lokatorkami. Ta krótkowłosa służąca, która wcześniej otwierała mi drzwi, pojawiła się teraz w roli kelnerki. Stanęła z rękami opartymi na biodrach i spojrzała na mnie tak, że aż straciłam rezon, po czym zapytała:

– Gotowana baranina, gotowana wołowina, fasola, ziemniaki, kawa czy herbata?

– Wołowina, ziemniaki, kawa i chleb – odpowiedziałam.

– Chleb jest w zestawie – wyjaśniła i skierowała się do kuchni znajdującej się na tyłach lokalu.

Niedługo potem wróciła z tym, co zamówiłam. Niosła dużą, mocno poobijaną tacę, którą z hukiem postawiła przede mną. Zaczęłam swój skromny posiłek. Nie wyglądał zbyt apetycznie, więc udając, że jem, obserwowałam pozostałe kobiety.

Często wygłaszałam moralizatorskie uwagi na temat tego, jak odrażające oblicze przybiera czasem instytucja dobroczynności! Oto dom dla zasłużonych kobiet, a jednak jakże kpiąco brzmiała ta nazwa. Podłoga była całkowicie naga, a małe drewniane stoliki nigdy nie zaznały takich nowoczesnych udogodnień jak lakier, pasta do polerowania czy obrusy. Nie

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej.

